



Stefania Anna Hayward

część I z IV

Sygnatura notacji: **N0516**

Data urodzenia: **20.06.1972 r.**

Data nagrania: **18.08.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Karmel pw. Najświętszej Krwi, Dachau, Niemcy**

Prowadząca/y rozmowę: **Dorota Grzechocińska**

Czas nagrania: **część I: 71 min, część II: 61 min, część III: 40 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 51 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Anna Hayward: Nazywam się Anna Hayward. Urodziłam się 20 czerwca 1972 roku w Sankt Petersburgu. Pochodzę z Rosji. Mieszkaliśmy potem w Moskwie z rodzicami. Mój tato pochodzi z rodziny żydowskiej, mama z rodziny wieśniackiej z Krymu. Urodziła się tam w 1942 roku, tato też 1942. W czasie wojny oboje się urodzili i są dziećmi wojny. Ja się urodziłam im dosyć późno. Byłam jedynym dzieckiem. Do do szkoły poszłam na Krymie. Byłam tam u Babci. Mama mojej mamy zmarła w wieku 26 lat. Porodem, drugim porodem. Mamę wychowywała ciocia, a potem ja byłam u tej cioci tam wychowywana. Dopiero w drugiej klasie szkolnej przyjechałam do Moskwy. Skończyłam szkołę, ale zanim skończyłam szkołę. W wieku 13 lat zachorowałam na raka i musiałam mieć leczenie długie i później do szkoły przez parę lat nie chodziłam, tylko uczyłam się w domu, ale ze swoją klasą kończyłam szkołę. Nie musiałam powtarzać klasy i potem tak bardzo mnie interesowała zawsze starożytna Grecja. Chciałam iść na uniwersytet, żeby studiować tą klasykę, ale po chorobie byłam bardzo słaba zdrowotnie. Po prostu nie dawałam rady, żeby wyjeżdżać każdy dzień regularnie gdzieś. I tak to bardziej jestem samoukiem. Chodziłam tam, kiedy pozwalały mi siły z grupą na uniwersytet słuchać lekcji, ale jako wolny słuchacz, więc nie ukończyłam. Nie mam dyplomu uniwersyteckiego, ale zaczęłam potem też interesowałam się od zawsze klasyczną literaturą angielską. Zaczęłam tłumaczyć w domu Byrona, Szekspira. Co nieco zostało nawet wydrukowane, bo jako nastolatka to bardziej mi pasowało mówić wierszami. To po prostu samoistnie, samorzutnie mi wychodziło i tłumaczyłam tych autorów, bo to mi łatwo przychodziło wówczas. Teraz już nie umiem w ogóle wierszy tłumaczyć. Nie umiałam wtedy prozy pisać. Było to dla mnie nienaturalne. Tylko wiersze ze mnie wyskakiwały. A potem. Teraz, jak doszłam do tego pisania prozy. i tłumaczenia prozy, to już nie umiem wierszy. Jak teraz był wiersz w książce, to w sumie trzeba było przetłumaczyć z niemieckiego na polski.

Oba języki nie są ojczyste, to musiałam sięgnąć po pomoc Polaka, żeby mi pomógł po prostu jako tako trochę to zrymować. Ten wiersz powstał w obozie tak, że musiałam go do swojej książki wstawić. Te literackie zdolności, niezwykle umiejętność językowe.

Dorota Grzechocińska: One pochodzą od twojej rodziny na pewno?

Anna Hayward: Tak, bo rodzina taty taka humanitarna. Tato był. Literatem, ale on pisał dokumentalne rzeczy. Przeważnie zajmował się wojną i krytyką literacką też jego wujek bardzo znanym krytykiem literackim był w Rosji. Babcia od strony taty była też humanitarnym. Ona uczyła, po prostu uczyła obcokrajowców rosyjskiego. I tak cała rodzina. Mama też zresztą skończyła uniwersytet jako nauczyciel literatury, języka i historii, chociaż pracowała w innym zawodzie, ale też miała zamiłowanie do nauk humanitarnych. Więc wzrastałaś w domu takim inteligentki, w domu, gdzie literatura była obecna i języki także. Języki chyba nie, ale literatura to tak. To znaczy myśmy najpierw nie mieli dużo książek, bo rodzice żyli bardzo biednie. U nas wtedy w państwie nie było dużo możliwości. Takie młode rodziny. Ale z biegiem czasu, jak zaczęła się Pieriestrojka, no to tato zaczął mi przynosić różne książki i ja po prostu połykałam książki. Czytałam, czytałam, czytałam. Droga, droga moja do Dachau, do Niemiec, w ogóle wiodła przez Polskę, bo przez Kościół Katolicki, dlatego, że w wieku 20 lat nawróciłam się na katolicyzm. Sama, bo w domu nie miałam wychowania religijnego. W dzieciństwie ochrzciła mnie babcia na Krymie i potem nie miałam żadnego, w Kościele prawosławnym. i nie miałam żadnego wychowania. Rodzice byli niewierzący. I sama po prostu przyszłam do Kościoła Katolickiego w wieku 20 lat, w 1992 roku, kiedy dopiero w Rosji to się zaczynało, to nie było jeszcze nic. Kościoły były zamienione na składy i księży rodzimych też nie było. Byli 1 czy 2 misjonarzy i wtedy przyszłam do jedyne go katolickiego kościoła otwartego w Moskwie. To był święty Ludwik. Francuski kościół. On zawsze działał, bo nie mogli go zamknąć, ale był zawsze pod pilną obserwacją. Zresztą kamery tam wokół kościoła stoją jeszcze dotychczas i kościół znajduje się na Łubiance, wprost naprzeciwko tego całego więzienia i wszystkiego, co tam się znajduje. Jak ludzie wychodzili w latach trzydziestych, pięćdziesiątych z kościoła, to można było po prostu ich brać. No, przeciwko po prostu. Ale ziemia, kawałek ziemi, na której ten kościół stały, zawsze należał do Francji, bo Francja go kupiła, żeby zbudować ten kościół. Więc jakby ziemia francuska, kościół mnie zamknięto, trzymano pod kontrolą i tam przyszłam i pozostałam. Moje stosunki do Kościoła też nie były łatwe. To trwało lata, zanim tam się odnalazłam. Przychodziłam, odchodziłam, ale od razu, jak przyszłam w pierwszym dniu. Szłam do kościoła. To był taki dzień upalny, słoneczny, a kościół jest zbudowany jako trochę. Taka świątynia rzymska, starożytna, te takie kolumny, gruby, taki styl i wielkie schody. To wchodziłam już z ostatnich sił po tych schodach, bo było bardzo gorąco, a tam ciemność. Z ciemności otworzyły się drzwi i wyszedł anioł i wpadłam do ramion. To była siostra misjonarka, która tam po prostu jedna z pierwszych, które przyjechały do Rosji w tym dniu miały dyżur i wyszło coś zawiesić na tablicy ogłoszeń. I po prostu to była niesamowita siostra. Z takim uśmiechem wpadłam jej do ramion, wymęczona fizycznie i duchowo, moralnie, psychicznie nieprzytomna. I potem to była moja matka i jest duchowa, aż do dziś. I tak pozostałam.

Dorota Grzechocińska: To był Kościół wtedy Księży Werbistów?

Anna Hayward: Nie, to nie był kościół. To znaczy to był kościół francuski, a tam prowadzili ojcowie.

Dorota Grzechocińska: Jak oni się nazywali?

Oblaci... W każdym razie francuscy ojcowie, ale ponieważ w Moskwie, w tym czasie było kilka parafii katolickich, a żadne nie miało kościoła, była też rosyjska parafia, była parafia polska, była jeszcze jakaś. Wszyscy mieli tam, w tym kościele swoją mszę. To było 7 mszy dziennie. Tak było podzielone w niedzielę, a w dniu powszednim było trzy msze. Jedna z francuskiej parafii i dwie poranne, i wieczorne były z rosyjskiej parafii. Werbiści tam po prostu pracowali jako misjonarze też pierwszy Werbista, który przyjechał bardzo duży wpływ wywarł na nas wszystkich. Bardzo dużo nas przyprowadził do kościoła, do wiary, ale niestety później sam wystąpił. Wszyscy jesteśmy mu do dziś wdzięczni.

Dorota Grzechocińska: Jak to się stało, że młoda, 20-letnia Anna podejmuje decyzję o wstąpieniu do klasztoru i do klasztoru klauzurowego?

Anna Hayward: To było nie od razu od decyzji. Jak mówiłam, że odchodziłam, przychodziłam. Miałam serce zajęte. Kiedyś przyszedłam do kościoła, usiadłam i płakałam, bo mówiłam. Panie Boże, co mam zrobić? Nie mogłam. Miałam jakieś opory, żeby iść do komunii, chociaż nie miałam żadnych prawnych przeszkód. Bardzo stopniowo mnie Pan Bóg prowadził przez lata. I potem właśnie przyszedł dzień, kiedy potrzebowałam już tej komunii i siostra, ta moja matka duchowna powiedziała, że stał się cud, bo ona nigdy nie wierzyła, że ja przełamie kiedyś tę przeszkodę. I odtąd zaczęłam chodzić do komunii każdego dnia i nie mogę już opuścić tego nie mogłam. Potem Werbiści otworzyli własną parafię, ale nie mieli miejsca. Dlatego to było w Moskwie. Na siódmym piętrze, w mieszkaniu w bloku. Chodziłam tam, pracowałam u nich w zakrystii, dobrowolnie, to znaczy nieodpłatnie. Chodziłam każdego dnia i poczułam się, a siostra ta też była Werbistką To znacie z rodziny werbistowskiej, Służebnicy Ducha Świętego, więc miałam poczucie, że do tej rodziny należę, ale czułam, że chcę do klasztoru, ale klauzurowego nie chcę na misję. Oni mi nie mówili, że mają klauzurowe odgałęzienia, a potem ktoś inny mi powiedział, że mają. I wtedy wiedziałam, że to już jest. To jest moja rodzina i tam mam iść. I tak się stało, że ta siostra została wybrana w Polsce na matkę prowincjonalną, musiała wyjechać z Rosji. Ten werbista też musiał wyjechać i po prostu pojechałam tam za nimi, do Polski, do tego klasztoru klauzurowego, ale zanim to stało się, bo miałam wielkie trudności, nie chciano mnie przyjąć.

Dorota Grzechocińska: Ktoś przyjeżdża z Rosji, taki podejrzany, ledwo nawrócony i generalnie co się działo w Niemczech?

Anna Hayward: Matka była Filipinka. Nie, absolutnie nie. Musiałam głową przebijać mur. Przez rok mieszkałam w pociągu tam i z powrotem, bo nie mogłam odpuścić, żeby mnie nie przyjęto. W końcu po prostu poruszono niebo i ziemię. Dostałam się tam. Wielu ludzi walczyło.

Dorota Grzechocińska: Ale to nie był koniec drogi, prawda?

Anna Hayward: Nie. Byłam tam dziewięć lat. Jak przyszedłam w 1999 roku ubiegłego wieku. To była akurat beatyfikacja męczenników II wojny światowej. Ja przyszedłam w maju. 18 maja wstąpiłam, a 7 czerwca była beatyfikacja w Toruniu błogosławionego ks. Frelichowskiego, a następnie 12 czerwca była beatyfikacja 108 męczenników w Warszawie.

Wśród nich czterech Werbistów. Ale to jakoś wtedy w ogóle mnie nie dotknęło, bo ja w ogóle po polsku nie umiałam. Znalazłam się w warunkach dla mnie zupełnie nowych. Musiałam po prostu jakoś odnaleźć się w tym środowisku i za dużo o tym też nie mówiono. W ogóle o żadnym księdzu Frelichowskim nie słyszałam wówczas. Ta beatyfikacja jakoś przeszła dla mnie zupełnie niezauważona. A o 108 męczennikach oczywiście słyszałam, bo mówiono, że jest czterech Werbistów. Próbowano jakoś czytać coś. Co wtedy byście wydali. Krótkie biografie czy coś, ale ja jako wtedy słabo rozumiejąca po polsku i to dla mnie było wszystko takie obce, że też nie bardzo tym się przejęłam. Dopiero po latach to do mnie dotarło zupełnie z innej strony. No właśnie, mnie zastanawia, że wśród tych 108, a nawet więcej męczenników II wojny światowej, bo nie wszyscy przecież zginęli w Dachau. Nie wszyscy zginęli w Dachau. Właśnie wybrałaś tego jednego. Wincentego Stefana, Wincentego Frelichowskiego. Nie, nie zgadzam się. Ja nie wybierałam go. To on mnie wybrał, bo do mnie przychodzą święci. Tak samo przyszedł do mnie św. Augustyn, bo gdy się miałam na imię, u Werbistek klauzurowych, miałam na imię siostra Augustyna Maria, którą sobie wybrałam jeszcze w Moskwie, kiedy nawróciłam na katolicyzm. Bo ja byłam jako miłośniczka bogów starożytnych i starożytnych Greków, zawsze przeciwnikiem Chrystusa i chrześcijaństwa. To mnie jakoś nie odpowiadało. Próbowalam zresztą przyjść do Kościoła prawosławnego, ale tam po prostu się dusiłam. Brakowało mi powietrza i wychodziłam. Nigdy nie znalazłam Chrystusa w Kościele prawosławnym, więc nie mogło takie coś mnie spotkać, żeby się nawróciłam na chrześcijaństwo. Aż dostałam do ręki, zresztą sama sobie kupiłam książkę św. Augustyna „Wyznanie” i przeczytałam, że ta książka nawróciła masę wielkich ludzi w historii najróżniejszych i że człowiek, który ją bierze do ręki, może niekoniecznie się nawrócić, ale zamknie książkę już inną osobą, niż otworzy. I jak się sobie pośmiałam z tego, a zamknęłam książkę i byłam już Augustyną. Po prostu obrałam sobie to imię podczas przejścia do Kościoła Katolickiego i potem w Nysie też sobie je obrałam, chociaż tam nadawano imię. Niekoniecznie musiałam je dostać, ale można było zaproponować i dostałam. Więc święci przychodzą i w tej walce o dostanie się do klasztoru bardzo opierałam się na świętej Teresce i na świętej Edycie Stein, bo one też miały trudności w dostaniu się do klasztoru i musiały dużo zwalczyć przeszkód wewnętrznych i zewnętrznych, a później ten Wicek, ten już pozostał i że tak powiem, wszystkich posunął. Mam dużo świętych przyjaciół, ale Wicek oczywiście jest zawsze obok.

Dorota Grzechocińska: Jak Wicek przyprowadził cię do Dachau?

Anna Hayward: Też nie od razu, bo zaczęło w ogóle nie od Wicka. Poza tym, że było cztery błogosławionych Werbistów męczenników II wojny światowej. Z nich zresztą tylko jeden zginął w Dachau, resztę nie, gdzie indziej. Zaczęłam czytać biografię tego świętego, błogosławionego ojca Alojzego Ligudy, który przed wojną był znanym pisarzem katolickim i znanym duszpasterzem młodzieży żeńskiej. I on do mnie bardzo przemówił. Bo miałam kryzys taki, problemy wewnętrzne, które mnie dopadły w klasztorze jeszcze spoza klasztoru, więc nie wiedziałam już, co mam zrobić. Zaczęłam czytać jego na szczęście Werbiści wydali trzy tomy jego kazań. Przed wojną podobno to była pozycja, z której korzystali wszyscy księża w Polsce, bo on był bardzo znanym kaznodzieją i korzystali z jego kazań. Potem w obozie dużo go znało właśnie z tego, że przed wojną czytało dużo księży, więc zaczęłam czytać i do mnie przemówił i chciałam poznać losy tego człowieka, życie jego bliżej. Zaczęłam czytać to, co wydali Werbiści przed beatyfikacją. Potem poznałam po prostu. Ja bardzo lubię historię, historia do mnie przemawia. Poznałam historię polskiej prowincji Werbistów. Zaczęłam szukać, co mamy w bibliotece. Niewiele mieliśmy. Zaczęliśmy prosić Werbistów, żeby przynieśli coś. Przynieśli ze swego klasztoru. Wszystko połączyłam. Najbardziej mnie dotknęło, że tam zginęło 14

chłopców. Cały nowicjat, cały pierwszy, drugi kurs kleryków poszedł do obozu, w liczbie 26. Z nich 14 zginęło, resztę nie wszyscy doszli do kapłaństwa. Bardzo to wszystko do mnie przemówiło, szczególnie, że wśród nich był Marian Żelazek, bardzo znany obecnie kandydat na ołtarze i chciałam więcej poznać. W tej książce o ojcu Ligudzie często wspomniano o książce ks. Henryka Malaka „Klechy w obozach śmierci” cytowano, odwoływano się. I zapragnęłam przeczytać tę książkę, ale nigdzie jej nie można było dostać, bo ona została wydana w Anglii, w 1961 roku i w Polsce nie można było jej dostać. I tak wyszło, że to wszystko Boże prowadzenie, że jechała jedna znajoma jednej z moich siostr do Anglii i ta moja współsiostra poprosiła ją, żeby tam poszukała, w tym wydawnictwie Veritas i w ogóle możliwości dostania tej książki. I ona znalazła w bibliotece, gdzie właśnie stara książka już miała być skasowana i można było ją tam kupić z 1961 roku i ona ją przywiozła, przysłała do klasztoru. Ja ją czytałam i myślałam „Panie Boże, teraz przeczytam książkę i koniec. I potem dalej stare życie mogę drugi raz przeczytać i potem dalej to samo życie”. Potem przyjechała z Moskwy znajomy z moją mamą, który miał wydawnictwo i opowiedziałam, że mam książkę, która po prostu zmienia życie. On powiedział przetłumacz, ja chcę ją też przeczytać, ja ją wydam. No i mówiłam: „Panie Boże, tłumaczenie trwało 2 lata. Teraz się skończy i znowu nadal to samo stare życie”. A okazało się, że nic z tego. Ciekawe jest, że siostry moje współsiostry czytały wszystkie po kolei tę książkę i po prostu co jedna przeczytała to, to zamilkła i przestaje mówić. To było widać. Wspólnota taka podzielona. Siedzimy przy stole, na posiłku. Czasami same były rozmowy przy posiłku. No to gadamy. A która akurat jest w trakcie czytania? Czy któraś przeczytała już? Siedzi i milczy. To było tak widać cała wspólnota po prostu zapadła nad tą książką i jedna z siostr mówiła: „Ja czytałam wiele książek. To dla mnie była pierwsza książka o obozach koncentracyjnych. Ja tak patrzyłam, że gdyby to była inna książka. Ja potem czytałam wiele, na przykład książkę ks. kard. Kozłowieckiego i tak dalej. Ja zdałam sobie sprawę z tego, że gdyby któraś inna książka była pierwszą, to na pewno bym tak nie weszłam do tego. Życie by nie zmieniło się, bo to jest jakaś niesamowita książka. Któraś siostra mówiła, że ja czytałam dużo obozowych książek, ale nie wiem jak tę czytać na kolanach czy jak? I to przy tym, że ksiądz Malak, on pisze, jak to się mówi syntetycznie, on nie ujmuje sprawy tak szczegółowo, albo, ale on ma taki jakiś talent prowadzenia człowieka za rękę po tej całej rzeczywistości. On ma niesamowity styl opowiadania. I właśnie potem 2 lata tłumaczyłam tę książkę. Warto powiedzieć jak, jak tłumaczyłaś tę książkę. Wtedy nie miałaś komputera. Nic, ani nie dostępu do internetu. Pisałam ręcznie, wszystko ręką. Kupowano mi takie grube zeszyty. Zniszczyłam w klasztorze wszystkie długopisy, bo już brakowało tamtych wkładek do długopisów. A w Moskwie oni to wszystko pisali komputerowo. Też moje przyjaciółki czy kuzynka. To wszystko robili ludzie z mojego otoczenia. Mój tato redagował też jeden pan katolicki, który uczył mnie przed tym w Moskwie, w Kolegium Teologicznym, który wydawał w Moskwie pierwszą encyklopedię katolicką, on też redagował. Przyjaciółki tam pisały komputerowo. Powstało tyle tych kartek A4 i to wszystko trzeba było włożyć tam te zeszyty, pisane ręcznie. Potem to i to było w jednym egzemplarzu. Trzeba było szukać, kto tam jedzie. Misjonarze przyjeżdżający na urlop, czy jakoś tak i potem bać się, że to gdzieś zginie, że to nie dojedzie, że to zostanie gdzieś tam skonfiskowane, bo co to? W każdym razie to było straszne. Przez 2 lata prawie nie mogłam spać. Oduczyłam się spać z tych nerwów, bo czasami to znikało. Nie było do człowieka dostępu, nie było komórek.

Dorota Grzechocińska: Gdzie jest człowiek z tym rękopisem?

Anna Hayward: I tak to tak to funkcjonowało 2 lata. A to nie była jedyna książka, którą przetłumaczyłaś na język rosyjski. Nie, to nie była jedyna książka. Najpierw, jeszcze w wieku 23 lat to takiej znajomej pan, który siedział

w gułagu i miał swoje wydawnictwo. i wydawał tam tylko książki, wspomnienia więźniów Gułagu. Ale mój tato współpracował tam, w tym wydawnictwie i ten pan, po prostu zgłosił chęć wydania dwóch poematów Byrona, które przetłumaczyłam. No i tak sobie leżały. Wydał to. Później, następna książka była już w Nysie tego księdza Włocha, który jako pierwszy przyjechał do Rosji i w ogóle jako pierwszy ksiądz katolicki tam się pojawił w 1991 roku, kiedy to się utworzyła. A czekał na to od dziecka, trzeba było powiedzieć, bo wierzył w obietnicę Matki Boskiej Fatimskiej, że Rosja się nawróci. Więc, w wieku już prawie 60 lat przyjechał do Rosji, zupełnie nie znając języka, niczego. Jak tylko otworzyła się możliwość. To był człowiek święty. To był pierwszy święty, którego poznałam w życiu.

Dorota Grzechocińska: Jak on się nazywał?

Anna Hayward: Bernardo Antonini, Don Bernardo nazywaliśmy go. W Rosji stworzył wszystko. Seminarium dla kształcenia ojczywych kapłanów. Niewiarygodne trudności przeżywali oni tam. Właśnie to kolegium katolickie, przez które wszyscyśmy przeszli pierwsi. Niekoniecznie wszyscy dostaliśmy dyplom czy do końca skończyliśmy, ale to było właśnie środowisko, które nas wykształciło w wierze katolickiej. I potem właśnie ten Don Bernardo, wszystko w Rosji, ten Kościół polski Niepokalanego Poczęcia, w którym był skład, w którym zostały tylko same ściany, a rosły na nich drzewa. I to wszystko. Przychodziliśmy tam się modlić na schodach z Donem Bernardo i potem to powolutku, powolutku. Teraz to jest wspaniała katedra Moskwy, Polska, polski Kościół. I właśnie o tym Don Bernardo. Jak byłam w klasztorze, on pojechał potem do Kazachstanu, tam też seminarium stworzył. I tam ostatnie pół roku swego życia i zmarł w wieku 70 lat. On po prostu oddał swoje życie, 10-lecie co był u nas w Rosji. Człowiek zmarł. Po prostu cały się wyczerpał. Mama mi przywiozła książkę jego wspomnień „Dlaczego kocham Rosję?” O tym, jak to się zaczynało. Taką cieniutką. No to ja przetłumaczyłam jeden rozdział stamtąd dla swego kierownika duchowego, który był też ojcem duchowym po polskim seminarium. Przez 50 lat wszyscy jego, wszyscy polscy księża, łącznie z biskupami, to są jego wychowankowie. I on mi powiedział, że ten człowiek będzie kanonizowany, że to jest świętej, że niech ja tę książkę przetłumaczę. Na polski. Całość. Tłumaczyłam. Tam siostry moje poprawiały, też pisałam wszystko ręcznie, one to pisały na komputerze, wszystko poprawiały, żeby było po polsku. Pisałam właśnie odręcznie. Też tłumaczyłam odręcznie wspomnienia tego Dona Bernardo i siostry moje z klasztoru w Nysie to drukowali na komputerze i później klasztor wydał tę książkę po polsku i to było już, że tak powiem, inicjatywa klasztoru. Oczywiście przełożona pytała przełożoną generalną. Bo myśmy tam w tym klasztorze, nikt nie może nic pisać bez pozwolenia i generalatu, i nic nie mogło być wydane wówczas. Teraz może się zmieniło, chyba się zmieniło. Pod nazwiskiem siostry to musi być wszystko. Siostry nie mają żadnego nazwiska, to wszystko należy do klasztoru i tak dalej. I my wydaliśmy to, bo przełożona jakby to sankcjonowała. I to już było wszystko. Ale później, jak zaczęłam tłumaczyć tych „Klechów”, to trwało przez dwa lata. Wszyscy mi pomagali i siostry też, i księża pomagali. Przełożona wtedy była już inna, Polka. Poprzednio była Niemka. I ona też prosiła generalat o pozwolenie wydania tego i nigdy nie doczekaliśmy się tego pozwolenia. To ja powiedziałam, że jak nie mogę wydać pod własnym nazwiskiem, bo nie mam pozwolenie, to wydam pod nazwiskiem, pod którym się urodziłam. Nazwisko taty wzięłam, napisałam, bo to nie należy do zgromadzenia i wydaliśmy tych „Klechów” po dwóch latach. Tej pracy, którą bym bez ludzi po prostu nie zrobiłam.

Dorota Grzechocińska: Pod jakim nazwiskiem?

Anna Hayward: Pod nazwiskiem Szynedel. To nazwisko mojego taty i się urodziłam z takim nazwiskiem. W końcu wyszło tak, że w sumie za tą pracą zostałam wyrzucona ze zgromadzenia. za tych „Klechów”. Chociaż było to sankcjonowane przez przełożoną. Przełożona zresztą też czytała tych „Klechów” i inne książki, potem obozowe, prosiła Werbistów żeby mi je przynosili. Oczywiście bez jej usankcjonowania nie mogłabym takiej pracy zrobić, ale to wszystko było po nocach. Spałam przez te dwa lata bardzo mało, ale nie było innej możliwości. Wtedy jeszcze miałam zdrowie, żeby tak pracować. Teraz już nie mam, niestety. W tamtym zgromadzeniu jeszcze wstawało się nocą, na adorację. Czyli tam i tak człowiek organizmu się przyzwyczajają się do innego reżimu i jest bardzo zawsze niewyspany, a tu jeszcze ta praca. No, oczywiście dużo zdrowia mnie kosztowało. I można powiedzieć, że ten kryzys i ta trudna sytuacja w klasztorze spowodowała, że zdecydowałaś się podjąć decyzję o zmianie? Nie. To znaczy przedtem jeszcze jak pracowałam nad tym, to zwróciłam w tej książce uwagę na księdza Frelichowskiego, chociaż on nie należał do najbliższego kręgu księdza Malaka. Ten pisał o nim mało. Kilka zdań. W całym dwóch tomach można tylko kilka zdań znaleźć o Frelichowskim, ale takich zdań, że mnie po prostu aż zatkało. Ja myślałam sobie: dlaczego ten czy tamten jest błogosławionym? Bo ma za sobą klasztor, który to wszystko organizuje, a ten tu nie jest. Bo ja nie miałam pojęcia, że on jest błogosławionym. Bo jak zawsze mówiłam, Wicek przyszedł do mnie w pasiaki więziarskim, cały obdarty, brudny. i po prostu swoją aureolę przykrył takim kapturkiem, że nie wiedziałam, że jest błogosławionym. Ale mnie strasznie to dotknęło.

Dorota Grzechocińska: Dlaczego ten nie jest błogosławionym?

Anna Hayward: A później, jedna siostra pochodziła z Bydgoszczy i jej rodzice przysłali ksero książki: „W promieniach miłosierdzia” siostry Joanny Grodzickiej, karmelitanki, która właśnie jako osoba świecka, bardzo rozchorowała się i przez kilkanaście lat to była taka postępująca choroba, w której powoli zanikają wszystkie mięśnie, aż dojdzie do układu oddechowego i człowiek po prostu się dusi, i cały jest sztywny. Właśnie ona leżała w łóżku palcem nie mogła ruszyć. To trwała kilkanaście lat, aż doszło do takiego stanu, w którym została uzdrowiona, bo po prostu, konkretnie została uzdrowiona za sprawą księdza Frelichowskiego. Ale ten cud Wickowi się nie zalicza, bo on wówczas go nie potrzebował, żeby zostać, zostać błogosławionym. A teraz ten cud się nie liczy, bo się dokonało, zanim zostało błogosławionym. Ja nie wiem, co jeszcze potrzeba. W każdym razie przeczytałam tę książkę w kserze i tam było takie malutkie zdjęcie księdza Frelichowskiego, które w kserze też było takie całe czarne nie wiadomo co, ale ja to sobie wycięłam i do brewiarza włożyłam. No to patrzyłam. I potem pojechał tata tej mojej współsiostry z Bydgoszczy do Torunia i tam kupił dla mnie ten pamiętnik księdza Wicka, który został wydany w 2003 roku. W 2006 on tam jeszcze kupił książkę. To była jedna z pierwszych biografii Krystyny Podlaszewskiej, błogosławionej, jeszcze przed beatyfikacją. Tak, przed beatyfikacją, bo ona nie dożyła. Ona pisała już na łożu śmierci jako chora na raka. Ona znała go jako dziecko, on wtedy w parafii u nich pracował. Później przyjaźniła się z jego siostrą. Więc jak ten pamiętnik dostałam do ręki? Ja zawsze mówię, że Wicek do mnie po głowie dużym workiem i nie mogłam go po prostu wypuścić z rąk. Chodziłam, pod pachą nosiłam, czytałam. Potem zaczęłam tłumaczyć to na rosyjski, bo tak to zawsze sobie pogłębiałam. To jest możliwość dłuższego trwania przy tekście. Tak dla siebie po prostu. No i potem właśnie, potem zaczęłam też sama pisać do Wicka. Bo był tak intensywnie blisko mnie, że w swoich właśnie tych trudnych, trudnych sytuacjach w klasztorze zaczęłam z nim się dzielić, rozmawiać. Codziennie nosiłam takie notesiki w kieszeni i ołówceczek, i zawsze pisałam. \

Dorota Grzechocińska: W jakim języku?

Anna Hayward: W polskim. To jest niezwykle.

Dorota Grzechocińska: Dlaczego? Dlaczego pisałaś po polsku?

Anna Hayward: No bo Wicek mówi po polsku. Jego pamiętnik był po polsku, ja pisałam po polsku do niego.

Dorota Grzechocińska: Bo w jakim języku miałam rozmawiać z Wickiem?

Anna Hayward: No i to pisałam. Chodziłam, pisałam, nosiłam przy sobie. Przez dwa lata to pisałam. Powiedział mi mój kierownik duchowy, który bardzo mi się przyglądał, bo on był takim bardzo wytrawnym mężem Kościoła, że tak powiem. On był oficjałem sądu biskupiego, on się zajmował sprawami opętania. I kto jest opętany, a kto jest chory, a kto jest chory, a kto? W ogóle był bardzo trzeźwym człowiekiem i był kierownikiem duchowym w różnych klasztorach żeńskich i męskich, i różne już przeszedł. I tam i samobójstwo było wśród jego dzieci duchowych. W klasztorach różne rzeczy. W każdym razie tak temu się przyglądał, bo nie ukrywałam tego. I powiedział mi po jakimś czasie tak: Jest to wielka łaska, za którą siostra powinno Bogu dziękować. I powiedział, że to, co siostra pisze, to jest najbardziej potrzebne samej siostrze, nie komuś tam. Więc dla mnie to było zawsze takie... Sobie z tego... Naprawdę śmiałam, jak ktoś pisał, bo, no bo, po co jest potrzebne, bo ja się przecież ja znam, co mam w środku, co myślę i tylko, że Wicek mnie tym swoim pamiętnikiem jakoś pociągnął do tych rozmów, żeby z nim rozmawiać, żeby to do niego pisać, nie do siebie. Więc potem, jak mnie wyrzucono po tym, to pisanie skończyło się na moim wyrzuceniu. To znaczy jednocześnie z tym. Ostatnim chyba zapisek, że idę w nieznaną i nie pozostaw mnie. Bądź dalej ze mną. I wyszłam z klasztoru na bruk, muszę powiedzieć na bruk. Z gołym tyłkiem. Nic nie miałam. I tak potem, ten mój kierownik duchowy, który mnie znał i który bardzo ściśle się trzymał. Wypadłam po prostu w nic, ale były ręce ludzi, którzy mnie złapali i podtrzymali, których ja przedtem nie znałam, którzy mnie przeprowadzili przez to wszystko. I ten mój kierownik duchowy, który bardzo ostro przytrzymał się, trzymał zasady, żeby nie pisać żadnych opinii o nikim, bo on nie ma prawa jako kierownik duchowy. On nawet jak był ojcem duchowym seminarium nie chodził z rektorem spacerować, Chociaż przyjaźnili się, bo jak klerycy zobaczą, że jedziemy razem, to nie będą mnie ufać. On był taki. To też był człowiek święty. Poznałam w życiu dwóch świętych, żywych, żyjących. Może więcej, ale tych bardzo konkretnie. Więc on napisał opinię tutaj, do klasztoru w Dachau.

Dorota Grzechocińska: Skąd decyzja, że to ma być Dachau? Ze względu na Wickę?

Anna Hayward: Bo kiedy czytałam potem po tych „Klechach” różne inne książki, które Werbiści przynosili. Była wśród nich książka ks. biskupa Korszyńskiego, który tutaj był w Dachau, który napisał, że i chyba Konrad Szweda też w dwóch książkach, że w Dachau ma powstać klasztor karmelitanek z wieczystą adoracją. Więc, że jest taki klasztor też międzynarodowy z wieczystą adoracją. Tak myśleli w Polsce. Wszystko to było nieprawda, bo żadnej adoracji wieczystej tu nigdy nie było i w ogóle nie ma dlatego zrozumienia tutaj, żeby takie coś urządzać. No i nie byłoby możliwe, bo personalnie tak, że to zupełnie nie jest możliwe. A ja sobie pomyślałam, bo dla mnie zawsze było naj-

ważniejsze widzieć adorację, chociaż przez wiele lat patrzyłam, a nie wiedziałam, bo w takiej strasznej suchości. i ciemnościach przez wiele, wiele lat, że ja stałam, klęczała przed Hostią i nie wiedziałam nic, zupełnie nic. I teraz też nic. Wszystko przez Witka. To on jest tym przewodnikiem. W każdym razie myślałam, czy to nie byłoby dla mnie? I przez kilka lat modliłam się o rozeznanie w tej sprawie, a jak kiedyś wspominałam rodzicom, to ich o mało nie trafił szlag. Gdzie ty tam pojedziesz? Do Dachau? Jak to możliwe? Ja sobie myślałam no tak, ja sobie tutaj złożę śluby wieczyste, potem tam pojedę, żeby jak się nie uda, żeby było gdzie wrócić, ale Pan Bóg powiedział nic z tego, żadnych ślubów wieczystych, żadne 10 lat, które masz jeszcze czekać. I wyrzucili mnie. I wtedy nie miałam innego wyjścia, bo mnie proponowano tam, do tamtego klasztoru. Do tego cię spróbujemy, powiemy. Był taki ksiądz Lucjan Królikowski, sybirak, człowiek po prostu światowy. Uczeń Maksymiliana Kolbe. On sam go jeszcze przyjął do Niepokalanowa, który był potem w gułagu, bo Maksymilian wysłał kleryków do Lwowa kiedy Niemcy się zbliżali, żeby nie poszli do kacetu, a oni poszli do gułagu. Dlatego, że tam Rosjanie ich złapali. W każdym razie, to człowiek niesamowity, znany bardzo. I mnie, w moim klasztorze klauzurowym było go poznać ja. On znał księdza Melaka. Więc to są drogie Pańskie i zaprzyjaźniliśmy się bardzo, z tym księdzem Lucjanem. Pisaliśmy do siebie. To był człowiek, który dożył 100 lat i umarł całkiem niedawno. Ale później, jak mnie wywalili z klasztoru, on bardzo się przejął. I zaczął w Polsce szukać jakiegoś klasztoru, Klarysek czy kogoś, żeby pisać, ale powiedziałam po pierwsze, że nie bardzo chcieli, bo takiego kogoś, kogo puszczono z kwitkiem w klasztorach. Nie mają zaufanie do jakiegoś takiego. Ale powiedziałam też, nie jestem prostytutką. Nie chodzi mi o to, żeby po prostu dostać się do jakiegokolwiek klasztoru, być w klasztorze. Mam konkretny cel albo Dachau, albo żaden inny klasztor. To spodobało się bardzo człowiekowi, który też bardzo się postarał, żeby mi pomóc. Przywoził mnie tutaj. Pomagał też tutaj parę razy przyjechać. Dawał pieniądze, bo jeździłam autobusem z Polski i z powrotem parę razy do Dachau. Nie miałam ani pieniędzy, ani nic. I wtedy po prostu ten mój kierownik duchowy, który też umiał po niemiecku, bo on pochodził ze Śląska i tam rodzina znała niemiecki, on pisał po niemiecku, napisał tutaj, napisał do przełożonej i ona powiedziała, że niech ja przyjadę po prostu zobaczyć, żeby się poznać. A to było takie szczęście, że przełożoną wtedy była tutaj Węgierka, która przyjechała w 1968 roku, też zupełnie nielegalnie z Węgier. Nie mogła powrócić. Mamę jej też ciągnano do sądu, ale ona nie powiedziała mamie, że jedzie. Dlatego, żeby mama była czysta. I to też takich historii przeżyła, że potem nie mogła wrócić do Węgier, że mama przez kilkanaście, kilka lat nie mogła ją odwiedzać. Ona mogła się wczuć w moją sytuację. Gdyby była inna przełożona, to nie wyszłoby nic. Ona po prostu mnie bardzo pomogła, ta przełożona ówczesna, żeby tu zostałam przyjęta. Ale ona nie mogła też sprawić, żeby mnie tutaj zaakceptowano. Miałam tu wielkie trudności. Czy jak ja kilka lat chodziłam i nosiłam się z myślą, czy nie byłaby to moją drogą, żeby pójść do Dachau. Zaczęłam, poprosiłam mamę o przysłanie jakichś podręczników, bo ja ani słowa po niemiecku i tam sobie coś próbowałam samoukiem, ale oczywiście nie bardzo. I ta przełożona, zanim mnie w ogóle tu w klasztorze przedstawiła czy udostępniła jakiś okres próby, ponieważ ona też przyjechała, nie znając ani słowa po niemiecku, Ona to wszystko przeszła. Dlatego ona mnie zorganizowała kurs niemiecki. Mieszkałam w Monachium u ojców karmelitów i chodziłam codziennie na zajęcia, więc tam była grupa z różnych zupełnie krajów. Ludzie byli i tak to każdy dzień pytano, a co robiłeś wczoraj, a co robiłeś na weekend? I każdy tam opowiadał, chodziłam tam, tu, do kawiarni, z przyjaciółmi, a ja zawsze była ta sama, jedna tylko odpowiedź: Uczyłam się niemieckiego, uczyłam się niemieckiego. No i właśnie tak chodziłam 3 miesiące na ten kurs. Potem zrobiłam certyfikat Deutsch i po trzech miesiącach, zaczynając od zera. zrobiłam certyfikat Deutsch, który robi się po pół roku. I pojechałam z powrotem, nie wiedząc w ogóle co mnie oczekuje. I ta przełożona też mówiła, wspólnota tu jest bardzo trudna, ale jeżeli cię nie przejmą, to przynajmniej będzie ten pożytek dla

ciebie, że będziesz umiała niemieckiego. Przyda się w życiu. No i tak to też trochę trwało. Przyjęta zostałam w roku 2009 do najpierw do postulatu, bo jak ktoś przechodzi z innego zgromadzenia ze ślubami wieczystym, to może zaraz zostać obłóczony. A ponieważ jak ja przyszłam jak człowiek z ulicy, bez ślubów żadnych, którym po prostu tam byłam, to też 9 lat, ale mnie tak zawsze z tego generalatu trzymano z rezerwą. i wydłużono mnie ten okres postulatu, nowicjatu, więc nie doszłam do tych ślubów wieczystych. I tutaj musiałam wszystko zaczynać od zera. I jak tam odeszłam z klasztoru, to wszystko zmieściłam, wszystkie swoje zapiski, wszystko co pisałam, a tych zapisków, co nosiłam w kieszeni przez dwa lata i pisałam do Wicka jakoś było mi szkoda i oddałam je temu panu, który mnie pomagał tutaj, żeby przyjechać i powiedziałam: niech pan zrobię, co chcę, do pieca, wrzucicie czy cokolwiek. Ja już tego nie potrzebuję. Jak przyjechałam tu do Niemiec, uprzedzono mnie, że będą dziwne rzeczy się działy, że bym niczemu się nie dziwiła w kościele niemieckim. No i działy się rzeczywiście dziwne rzeczy i w kościele, i w klasztorze. I byłam tak strasznie zagubiona. Nie umiałam ani słowa po niemiecku. Straciłam zupełnie więź do kacetu, do wszystkich swoich przyjaciół, którzy stamtąd świętych, do wszystkiego, do siebie samej. Po prostu byłam tak strasznie zagubiona tutaj, w tej nowej wspólnotce, która strasznie i chodziłam tylko z myślami o samobójstwie i myślałam Panie Boże dobrze, mam te myśli, ale nic przed Tobą nie ukryłam. Widzisz je, znasz, nie uciekam przed tobą z tymi myślami. I potem po pół roku jak przyjechałam, to zostałam przyjęta w kwietniu, a chyba w październiku były rekolekcje wspólnotowe tutaj. Nic nie słuchałam, bo nic nie rozumiałam po niemiecku, ale już nie wiedziałam co mam ze sobą zrobić i poprosiłam tego pana czy pan by mi nie mógł przysłać tych moich zapisków? I wtedy, jak występowałam tu do klasztoru, jeszcze w Polsce, kupiłam sobie taki komputer. Taki tani, żeby po prostu coś mieć do kontaktowania się z mamą. I siedziałam w tych rekolekcjach, w październiku i przepisywałam po prostu te... odcyfrowywałam... bo tam pisałam byle jak, takie drobne maczkiem. i wpisywałam to po prostu tak dla siebie, do komputera, te rozmowy z Wickiem i poprzez to odnalazłam z powrotem siebie. To stało się, jak prorokował mój kierownik duchowy, że te zapiski są najbardziej siostrze samej potrzebne. I poprzez to dałam Wickowi siebie znowu odnaleźć, bo on mnie nigdy nie zgubił, tylko jako zgubiłam. Ja wszystkich zgubiłam w ciągu tego pół roku i on mnie znowu odnalazł z powrotem tu. i zaczął odbudowywać znowu. Tu człowiek musi zupełnie nowy stosunek do obozu znaleźć, niż ten książkowy, który przedtem miał. Ale dzisiaj? Dzisiaj to mówisz w swoich wywiadach, czy w ogóle kiedyś, Kiedykolwiek się wypowiadasz, to mówisz, że dla ciebie, że tutaj znalazłaś się w tej rzeczywistości obozowej Ty znalazłaś Boga i że dla ciebie to jest jakby swego rodzaju ziemia święta. Tak to jeszcze mówiłam, kiedy przeczytałam księdza Michalaka, że do Boga, po prostu nawróciłem się jakby. Bóg mi się objawił tutaj na ziemi obozów koncentracyjnych, przez tych ludzi, którzy tutaj żyli z Boga, nieśli Boga innym. Bo przecież nie wszyscy się zagubili, tak? Wielu straciło wiarę, ale wielu ją odnalazło w takich ludziach jak Wicek. Bóg był obecny na tej ziemi. I ojciec Żelazek na przykład zawsze mówił: „Pielgrzymuje do obozu”. Zawsze, kiedy przyjeżdżał z Indii do Europy na urlop, zawsze musiał przyjechać do Dachau i iść na piechotę od dworca do obozu. I po drugie, po drodze, jak kogoś spotykał, szczególnie młodzież szkolną, zawsze zagadywał i mówił, że idzie właśnie tu, pielgrzymuje do tego obozu, że tutaj jest. On mówił tutaj jest ziemia święta. Zdejmij swoje obuwie, bo ziemia, na której stoi, jest święta. On tak to odbierał. Wielu też odebrało jako pięcioletnie rekolekcje, wielu szczególnie kleryków. Ale muszę zaznaczyć wyraźnie, że ci klerycy byli blisko Wicka, że ojciec Marian i ja nie wiedziałam o tym, aż dowiedziałam się, że on był jednym z najbliższych Wicka. I później to czym on został, ta jego świętość, którą teraz na cały świat, ta jego praca dla trędowatych w Indiach, to wszystko było jakby tym dziedzictwem Wicka, który w sobie poniósł dalej. To jeszcze jak już jesteśmy teraz w Dachau, w tej rzeczywistości. Jeszcze tylko powiem, że twoje imię zakonne też nie zostało wybrane przypadkowo. Jesteś, wybrałaś

imię Stefania. Tak, ja zawsze wiedziałam, że nie będę Wincentą tylko Stefanią, bo na początku on nie było dla mnie Wickiem. Poznałam go jako Stefana w książce księdza Malaka i zawsze mówiłam na niego Stefan. Aż potem, później przyszło do mnie. Jeszcze pytałam nawet biskupa Jeża, który wówczas żył. Napisałam do niego jeden raz jak to jest, żeby on mi odpowiedział. Nawet przysłał mi odpowiedź, że oni go nazywali Wickiem, ale byli też osoby w obozie. W obozie on był znany pod dwoma imionami i byli osoby, który nazywali go wyłącznie Stefanem. W tym też jeden z bardzo bliskich jego przyjaciół, kleryków, znowuż jezuickich Kazimierz Chudy, z którym tu założyli Legion Chrystusa dla młodych księży kleryków. Nie ten, co w Ameryce Południowej z takim niesławnym założycielem teraz, ale ten Wickowy Legion Chrystusa tu w Dachau, który powstał w 1943 roku, ten Kazimierz Chudy go wyłącznie Stefanem nazywał i Wicek korzystał z tego imienia, bo pisał listy z obozu, podpisując się Stefan, jak to było w kartotece obozowej, a w listach pisał o Wicku, więc cenzura nie wiedziała o co chodzi i przepuszczała te listy. To jeszcze wyjaśnimy, dlaczego obóz koncentracyjny w Dachau był jednak takim obozem wyjątkowym z punktu widzenia Kościoła i księży. Dlatego że tu był, jak napisał ksiądz Korczyński sobór, jakiego dotąd nie było. Niektórzy z kolei nazywają największym w świecie klasztorem, bo tutaj zgromadzono od grudnia 1940 r. wszystkich duchownych duchowieństwo, które było przedtem rozsiane po różnych klasztorach, obozach koncentracyjnych. Zawieziono ich tutaj dlatego, że wytargował to kardynał Bertram, wrocławski kardynał na polecenie papieża. I przykre jest to, że teraz tutaj władze obozowe, muzealne nie uznają tego, że tutaj było jakieś specjalne miejsce, że trzeba jakoś wyróżniać duchowieństwo w kategorii innych więźniów, którzy tutaj byli, bo tutaj różne kategorie były i nie wolno mówić, że jakoś specjalnie wyróżniać duchowieństwo. Wszyscy muszą być traktowani na równi. Ale kiedy wyliczają różne kategorie, to księży nazywają przeważnie na końcu. No bo muszą. Ale to nie było tak, to, to były jednak katowni przede wszystkim duchowieństwa i przede wszystkim polskiego, dlatego że polskie duchowieństwo było inaczej traktowane niż pozostałych. No właśnie, ta decyzja o tym, żeby zgromadzić księży w jednym obozie, miała na celu swego rodzaju ochronę czy pomoc. Tak. Tak. Różnie to, różnie to wygląda z różnych stron, bo jak teraz na przykład tę książkę, to napisałam tam, że te przywileje zawsze trzeba omówić w cudzysłowie, które tutaj dostało duchowieństwo, które zostały, zostały wytargowane przez Watykan, zostały przez władze obozowe do tego stopnia zniekształcone, wykorzystane, żeby bardziej tylko szykanować duchowieństwo, że wszyscy one wszyscy oni wspominają o tych przywilejach, po prostu ze zgrozą. Ale pan wydawca się nie zgodził i powiedział, że trzeba dopisać, że to jednak były jakieś udogodnienia, że jednak przynieśli jakieś ratunek życia duchownych, przed tym strasznie wycieńczonych. W innych obozach znaleźliśmy jakieś kompromisy, bo nie pasowało mi to, żeby rozpisywać się o tym, to trzeba osobno o tym pisać. Ale wstawiłam tam akapit czy dwa, że te przywileje pomogły nieco wzmocnić się duchownym, którzy przyjechali na przykład z kamieniołomów strasznie wycieńczeni. Tylko, że te przywileje nie potrwały długo dla polskich duchownych i litewskich albo litewskich tutaj było mało, trzech tylko. Szybko się skończyły i zaczęło się, zaczęło się mordowanie księży po prostu konkretnie mordowanie, jeszcze bardziej nawet wzmożone po tym, jak esesmani się wściekają, że muszą dać im jakąś ulgę. Dopiero potem odegrali się na nich za tę ulgę, którą musieli dać, tym bardziej potem na nich po prostu odbiło się to wszystko. Właśnie sytuacja w obozie na przestrzeni tych kilku lat bardzo się zmieniało i ten okres 1941–42 czy nawet 1940–42 to jest ten okres największych cierpień i zbrodni, które tutaj na księżach zostały dokonane. Tak w 1942 roku. My mamy taki album u siebie. Prowadził jakiś ksiądz po prostu zapisy po dniach, kiedy ktoś zginął. I jak się patrzy, letnie miesiące 1942 roku to największy głód w obozie, to tam każdego dnia 2, 3, 4 kapłanów umarło, w ciągu letnich miesięcy 1942 roku. Jedli tutaj na plantacjach mlecz ślimaków i wszystko, co znaleźli. Po prostu, nawet umierali często z tego, że zatruli się tym zielskiem, bo wszystko ważyli wtedy 34 ileś, trochę

ponad ponad 30 kilo. W lecie 1942 roku. A poza tym, w tym też okresie wywieziono ponad 300 duchownych tak zwanym transportem inwalidów. Sukcesywnie wywożono do komory gazowej, tutaj niedaleko do do Hartheim, pod Linzem do Austrii wieziono. To znaczy najpierw wożono nawet nie tam, tylko mieli takie samochody gazowe, gdzie spaliny w rurę, do furgonu i w trakcie jazdy już umierali, ale nie wszyscy. Czasami dowożone jeszcze, ktoś żył. No i później zaczęli wozić tam do tego Hartheimz, żeby tam niszczyć w specjalnym zakładzie eutanazyjnym.

Dorota Grzechocińska: Czyli księży, księży polscy mogli jakiegokolwiek praktyki religijne tutaj prowadzić? Msze święte?

Anna Hayward: Dla polskich księży, bardzo często spotygam... Niestety, w książkach bardzo poważnych osób, że księży polscy byli wyłączeni, że kaplica była dostępna tylko dla niemieckich, że w ogóle kaplica zamknięta. To wszystko jest wielkie poplątanie z pomieszaniem, dlatego, że kaplicę dopiero otwarto w styczniu 1941 roku. To było tak w grudniu 1940 wszystkich wywieziono tutaj, umieszczonych w osobnych barakach. Ważne jest to, że w poprzednich obozach księży żyli, mieszkali razem z innymi więźniami w barakach i dlatego mieli łatwiejszy dostęp, łatwiejszy dostęp do współwięźniów. Tutaj ich odizolowano, tutaj w konkretnych barakach i nie mieli dostępu do kolegów świeckich. I potem w jednym z tych baraków, w grudniu, w styczniu 1941 roku, otworzono kaplicę, bo to też było jednym z warunków Watykanu, do którego nie mieli wstępu więźniowie świeccy, ale księży mieli dostęp do kaplicy. Wszyscy. Co więcej, mało tego. Odprawiać Mszę świętą poczynając od 22 stycznia, urodziny Wicka. W tym dniu była pierwsza msza w Dachau. Mógł tylko i wyłącznie jeden ksiądz Paweł Prabucki, Polak. Trzeba o tym mówić. Nie Niemcy. Nikt, tylko Paweł Prabucki. Dlatego, że właśnie on należał do grupy Wicka. Razem z Wickiem był od Fortu Siódmego w Toruniu. Oni tam razem organizowali życie religijne. Paweł Prabucki jako jeszcze nie będąc księdzem, był na wojnie pierwszej światowej w armii niemieckiej. Jako kapitan artylerii został nagrodzony dwoma krzyżami żelaznymi i z tego tytułu on mógł odprawiać msze święte jeszcze w Sachsenhausen. Tam zbudowana... 6 sierpnia 1940 roku była pierwsza msza w Sachsenhausen. Tam była mała, malutka kapliczka przetworzony jeden barak na kapliczkę, bo była walizka – polowy, ołtarz, którą tę walizkę, ten ołtarz księży z Sachsenhausen tu przywieźli. Dlatego ta grupa z Sachsenhausen, która przyjechała, była też wycieńczona, ale w porównaniu do innych, którzy przyjechali z z Mauthausen, z Gusen, z Auschwitz, oni jeszcze dobrze wyglądali i oni mieli msze już od sierpnia 1940 roku, a inni nie mieli. Więc ten Prabucki tutaj, dalej miał prawo tylko jeden odprawiać mszę, a Wicek nie będąc, nie mając możliwości odprawiać on był przy nim bardzo gorliwym ministrantem, on odpowiadał za liturgię, był zapalonym liturgistą jeszcze od seminarium i on tutaj to wszystko organizował. Był przy księdzu Prabuckim, pomagał mu. 21 stycznia 1941 roku jeszcze nie było żadnych hostii, ani wina, ani nic. Już ich zapędzili do kaplicy, bo jakaś miała być komisja i kazali odprawiać mszę bez wszystkiego. To więc Prabucki odprawiał suchą mszę. To był pierwszy dzień w kaplicy, a na drugi dzień, już 22 urodziny Wicka. 28 to była pierwsza msza święta tutaj w Dachau i później dla polskich duchownych to skończyło się 18 września 1941 roku. Później jeszcze przywieziono tutaj w kwietniu 1941 roku biskupa Kozala i on miał prawo też od 13 sierpnia odprawiać msze w kaplicy, bo w tym chyba 13-go sierpnia, nie chcąc kłamać – miał swoją rocznicę konsekracji biskupiej i wtedy wytargowano, żeby on też mógł odprawiać mszę. Ale to nie skończyło się na tej mszy, on mógł odprawiać mszę drugą w ciągu dnia i parę tygodni, co pozostawało im od do tego, że ich wyrzucono z kaplicy odprawiał też biskup Kozal. On jeszcze później napisał, żeby mu przysłali te insygnia biskupie do domu, są listy Kozala, który mógłby też wykorzystać w czasie mszy pontyfikalnych. Przysłali

te insygnia, ale już nie mógł z tego skorzystać. I później te insygnia zabrało tutaj gestapo, odesłało po jego śmierci do Berlina, żeby nie było żadnych po nim pamiątek czy relikwii. W każdym razie księży polskich wyrzucono dlatego, że 18 września ustawiono ich wszystkich w uliczce przed ich barakiem, w uliczce blokowej i przyniesiono dużo papieru, dużo maszyn do pisania. Przyszedł nagle Führer i kazał im zgłaszać się na listę niemiecką, ale nikt się nie zgłosił. Więc nikogo nie zapisano. Podobno dwóch wystąpiło, ale później ich zawstydzono i oni się wycofali z tego i ogłoszono, że odtąd nie są duchownymi, nie są traktowani jako duchowni, tylko jako wszyscy inni przestępcy, że im zabrania się wstępu do kaplicy, że ich pozbawia się wszystkich brewiarzy, wszystkiego co im pozwolono mieć i że mają pracować w najcięższych pracach. Tam, na plantacji, na plantażach tak zwanych. Gdzie zaczęli ginąć, ginąć w najcięższych pracach rolnych, tylko pod otwartym niebem. Nic nie mogli, nie mieli drugiego śniadania, niczego, co umożliwiałoby chociaż jakiś dodatkowy kawałek chleba dostać w ciągu dnia. I od tego czasu, od 19 września 1941 roku oddzielono ich i zostawiono tylko księży niemieckich. Później dołączono jeszcze innych, wszystkich oprócz Polaków i litewskich księży. I od tego czasu nie mieli już mszy, tylko potajemnie.